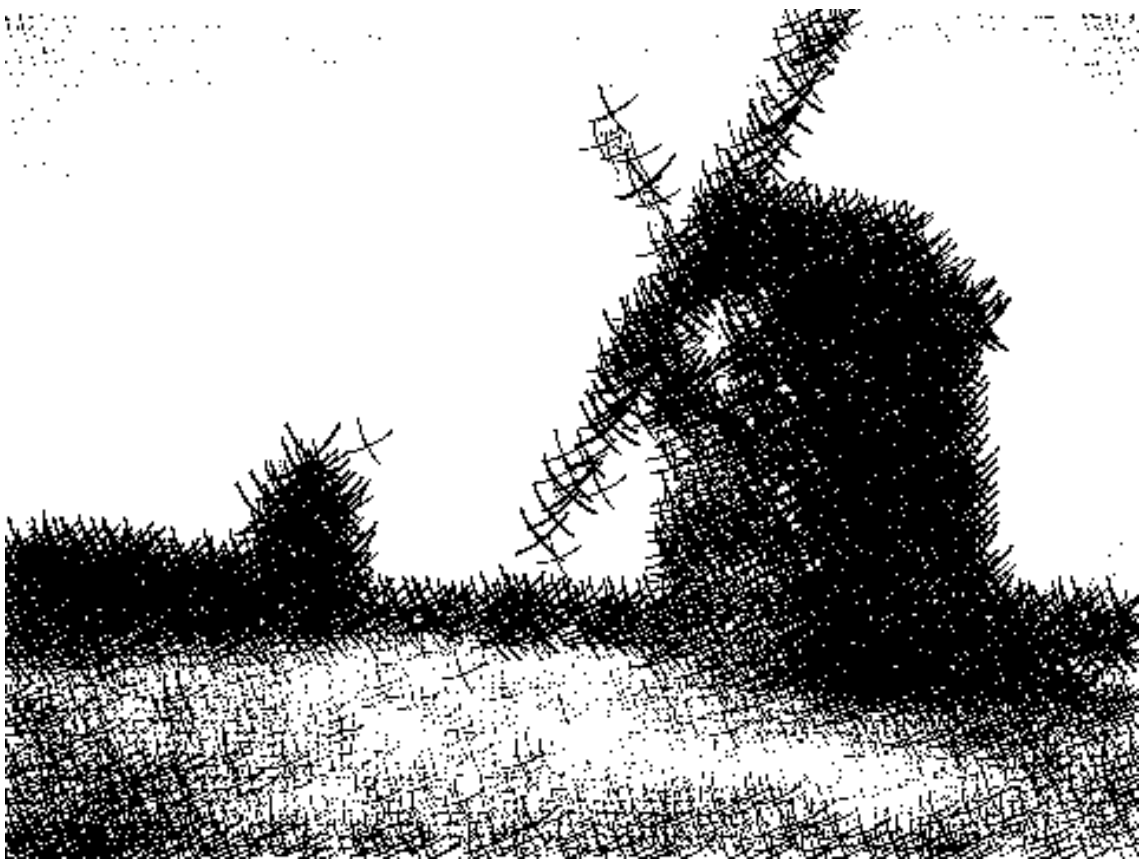


**Bolesław Prus**

# **Antek**



Antek urodził się we wsi nad Wisłą.

Wieś leżała w niewielkiej dolinie. Od północy otaczały ją wzgórza spadziste, porośnięte sosnowym lasem, a od południa wzgórza garbate, zasypane leszczyną, tarniną i głógiem. Tam najgłośniej śpiewały ptaki i najczęściej chodziły wiejskie dzieci rwać orzechy albo wybierać gniazda.

Kiedyś stanął na środku wsi, zdawało ci się, że oba pasma gór biegną ku sobie, ażeby zetknąć się tam, gdzie z rana wstaje czerwone słońce. Ale było to złudzenie.

Za wsią bowiem ciągnęła się między wzgórzami dolina przecięta rzeczułką i przykryta zieloną łąką.

Tam pasano bydłatka i tam cienkonogie bociany chodziły polować na żaby kukające wieczorami.

Od zachodu wieś miała tamę, za tamą Wisłę, a za Wisłą znowu wzgórza wapienne, nagie.

Każdy chłopski dom, szarą słomą pokryty, miał ogródek, a w ogródku śliwki węgierki, spomiędzy których widać było komin sadzą uczerznięty i pożarną drabinę. Drabiny te zaprowadzono nie od dawna, a ludzie myśleli, że one lepiej chronić będą chaty od ognia niż dawniej bocianie gniazda. Toteż gdy płonął jakiś budynek, dziwili się bardzo, ale go nie ratowali.

— Widać, że na tego gospodarza był dopust boski — mówili między sobą. — Spalił się, choć miał przecie nową drabinę i choć zapłacił śtraf<sup>1</sup> za starą, co to były u niej połamane szczeble.

W takiej wsi urodził się Antek. Położyli go w niemalowanej kołysce, co została po zmarłym bracie, i sypiał w niej przez dwa lata. Potem przyszła mu na świat siostra, Rozalia, więc musiał jej miejsca ustąpić, a sam, jako osoba dorosła, przenieść się na ławę.

Przez ten rok kołysał siostrę, a przez cały następny — rozglądał się po świecie. Raz wpadł w rzekę, drugi raz dostał batem od przejezdnego furmana za to, że go o mało konie nie stratowały, a trzeci raz psy tak go pogryzły, że dwa tygodnie leżał na piecu. Doświadczył więc niemało. Za to w czwartym roku życia ojciec podarował mu swoją sukienką kamizelkę z mosiężnym guzikiem, a matka — kazała mu siostrę nosić.

Gdy miał pięć lat, użyto go już — do pasania świń. Ale Antek nie bardzo się za nimi oglądał. Wolał patrzeć na drugą stronę Wisły, gdzie za wapiennym wzgórzem raz na raz pokazywało się coś wysokiego i czarnego. Wyłaziło to z lewej strony jakby spod ziemi, szło w górę i upadało na prawo. Za tym pierwszym szło zaraz drugie i trzecie, takie samo czarne i wysokie.

Tymczasem świnię swoim obyczajem wlaży w kartofle. Matka spostrzegłszy to zawinęła się wedle sukiennej kamizelki Antkowej, tak że chłopiec prawie tchu nie mógł złapać. Ale że nie miał w sercu zawziętości, bo było z niego dziecko dobre, więc wykrzyczawszy się i wydrapawszy — kamizelkę, zapytał matki:

— Matulu! A co to takie czarne chodzi za Wisłą?

Matka spojrziała w kierunku Antkowego palca, przysłoniła oczy ręką i odparła:

— Tam za Wisłą? Cóż to, nie widzisz, że wiatrak chodzi? A na drugi raz pilnuj świń, bo cię pokrzywami wysmaruję.

— Acha, wiatrak! A co on, matulu, za jeden?

— At, głupiś! — odparła matka i uciekła do swojej roboty. Gdzie ona miała czas i rozum do udzielania objaśnień o wiatrakach!

Ale chłopcu wiatrak spokojności nie dawał. Antek widywał go przecie co dzień. Widywał go i w nocy przez sen. Więc taka straszna urosła w chłopcu ciekawość, że jednego dnia zakradł się do promu, co ludzi na drugą stronę rzeki przewoził, i popłynął za Wisłę.

Popłynął, wdrapał się na wapienną górę, akurat w tym miejscu, gdzie stało ogłoszenie, aby tędy nie chodzić, i zobaczył wiatrak. Wydał mu się budynek ten jakby dzwonnica, tylko w sobie był grubszy, a tam gdzie na dzwonnicy jest okno, miał cztery tęgie skrzydła ustawione na krzyż. Z początku nie rozumiał nic — co to i na co to? Ale wnet objaśnili mu rzecz pastuchowie, więc dowiedział się o wszystkim. Naprzód o tym, że na skrzydła dmucha wiatery i

---

<sup>1</sup> śtraf - kara

kręci nimi jak liśćmi. Dalej o tym, że w wiatraku miele się zboże na mąkę, i nareszcie o tym, że przy wiatraku siedzi młynarz, co żonę bije, a taki jest mądry, że wie, jakim sposobem ze śpichrzów wyprowadza się szczury.

Po takiej poglądowej lekcji Antek wrócił do domu tą samą drogą co pierwiej. Dali mu tam przewoźnicy parę razy w łeb za swoją krwawą pracę, dała mu i matka coś na sukienną kamizelkę, ale to nic: Antek był kontent<sup>2</sup>, bo zaspokoił ciekawość. Więc choć położył się spać o głodzie, marzył całą noc to o wiatraku, co mieli zboże, to o młynarzu, co bije żonę i szczury wyprowadza ze śpichrzów.

Drobny ten wypadek stanowczo wpłynął na całe życie chłopca. Od tej pory — od wschodu do zachodu słońca — strugał on patyki i układał je na krzyż. Potem wystrugał sobie kolumnę; próbował, obciosywał, ustawiał, aż nareszcie wybudował mały wiatraczek, który na wietrze obracał mu się jak tamten za Wisłą.

Cóż to była za radość! Teraz brakowało Antkowi tylko żony, żeby mógł ją bić, i już byłby z niego prawdziwy młynarz!

Do dziesiątego roku życia zepsuł ze cztery koziki, ale też strugał nimi dziwne rzeczy. Robił wiatraki, płoty, drabiny, studnie, a nawet całe chałupy. Aż się ludzie zastanawiali i mówili do matki, że z Antka albo będzie majster, albo wielki gałgan.

Przez ten czas urodził mu się jeszcze jeden brat, Wojtek, siostra podrosła, a ojca drzewo przytłukło — w lesie.

W chacie była z Rozalią wielka wygoda. Dziewczyna zimą zamiętała izbę, nosiła wodę, a nawet potrafiła krupnik ugotować. Latem posyłano ją do bydła z Antkiem, bo chłopak zajęty struganiem nigdy się nie dopilnował. Co go nie nabili, nie naprosili, nie napłakali się nad nim. Chłopak krzyczał, obiecywał, płakał nawet razem z matką, ale robił swoje, a bydło wciąż w szkodę wchodziło.

Dopiero gdy siostra razem z nim pasła, było lepiej: on strugał patyki, a ona pilnowała krów.

Nieraz matka widząc, że dziewczucha, choć młodsza, ma więcej rozumu i chęci aniżeli Antek, załamywała z żalu ręce i lamentowała przed starym kumem, Andrzejem:

— Co ja pocznę, nieszczęsna, z tym Antkiem odmieńcem? Ani to w chacie nic nie zrobi, ani bydła dogładnie, ino wciąż kraje te patyki, jakby co w niego wstąpiło. Już z niego, mój Andrzej, nie będzie chyba gospodarz ani nawet parobek, tylko darmożjad na śmiech ludziom i obrazę boską!...

Andrzej, który za młodu praktykował flisactwo i dużo świata widział, tak pocieszał strapioną wdowę:

— Juźci, gospodarzem on nie będzie, to darmo, bo on na to nie ma nawet dobrego rozumu. Jego by zatem trza<sup>3</sup> naprzód do szkoły, a potem do majstra. Nauczy się z książki, nauczy się rzemiosła i jeżeli nie zgałanieje, będzie żył.

Na to wdowa odpowiedziała, wciąż łamiąc ręce:

— Oj, kumie, co wy też gadacie. A czy to nie wstyd gospodarskiemu dziecku rzemiosła się imać i byle komu na obstalunek<sup>4</sup> robotę robić?

Andrzej puścił dym z drewnianej fajeczki i rzekł:

— Juźci, że wstyd, ale rady na to nie ma nijakiej.

Potem, zwracając się do Antka siedzącego na podłodze przy ławie, zapytał:

— No gadaj, wisus<sup>5</sup>, czym ty chcesz być? Gospodarzem czy u majstra?

A Antek na to:

— Ja będę stawiał wiatraki, co zboże miela.

I odpowiadał tak zawsze, choć nad nim kiwano głowami, a jak czasem to i miotłą.

Miał już dziesięć lat, kiedy pewnego razu ośmioletnia wówczas siostra jego, Rozalia, strasznie zaniemogła. Jak się położyła z wieczora, to się jej na drugi dzień dobudzić było trudno. Ciało miała gorące, oczy błędne i gadała od rzeczy.

<sup>2</sup> kontent – zadowolony, usatysfakcjonowany

<sup>3</sup> trza - trzeba

<sup>4</sup> obstalunek - zlecenie wykonania czegoś, złożone u rzemieślnika

<sup>5</sup> wisus – urwis, psotnik

Matka z początku myślała, że dziewczyna przyczaja się, dała jej więc parę szturchańców. Ale gdy to nie pomogło, wytarła ją gorącym octem, a na drugi dzień napoiła wódką z piołunem. Wszystko na nic, a nawet gorzej, bo po wódce wystąpiły na dziewczuchę sine plamy. Wtedy wdowa przetrząsnawszy szmaty, jakie tylko były w skrzyni i w komorze, wybrała sześć groszy i wezwała na ratunek Grzegorzową, wielką znachorkę.

Mądra baba obejrzała chorą uważnie, opluła koło niej podłogę jak należy, posmarowała ją nawet sadłem, ale — i to nie pomogło.

Wtedy rzekła do matki:

— Napalcie, kumo, w piecu do chleba. Trza dziewczynie zadać na dobre poty, to ją odejdzie.

Wdowa napaliła w piecu jak się patrzy i wygarnęła węgle czekając dalszych rozkazów.

— No, teraz — rzekła znachorka — połóżyc dziewczuchę na sosnowej desce i wsadzić ją w piec na trzy zdrowaški. Ozdrowieje wnet, jakby kto ręką odjął!

Istotnie, położono Rozalię na sosnowej desce (Antek patrzył na to z rogu izby) i wsadzono ją, nogami naprzód, do pieca.

Dziewczyna, gdy ją gorąco owiało, ocknęła się.

— Matulu, co wy ze mną robicie? — zawołała.

— Cicho, głupia, to ci przecie wyjdzie na zdrowie.

Już ją wsunęły baby do połowy; dziewczyna poczęła się rzucać jak ryba w sieci. Uderzyła znachorkę, schwyciła matkę obu rękami za szyję i wniebogłoso krzyczała:

— A dyć wy mnie spalicie, matulu!...

Już ją całkiem wsunięto, piec założono deską i baby poczęły odmawiać trzy zdrowaški...

— Zdrowaś, Panno Mario, łaski pełna...

— Matulu! matulu moja!... — jęczała nieszczęśliwa dziewczyna. — O matulu!...

— Pan z tobą, błogosławionaś ty między niewiastami...

Teraz Antek podbiegł do pieca i schwycił matkę za spódnicę.

— Matulu! — zawołał z płaczem — a dyć ją tam na śmierć zaboli!...

Ale tyle tylko zyskał, że dostał w łeb, ażeby nie przeszkadzał odmawiać zdrowasiak. Jakoś i chora przestała bić w deskę, rzucać się i krzyczeć. Trzy zdrowaški odmówiono, deskę odstawiono.

W głębi pieca leżał trup ze skórą czerwoną, gdzieniegdzie oblazłą.

— Jezu! — krzyknęła matka ujrzawszy dziewczynę niepodobną do ludzi.

I taki ogarnął ją żal za dzieckiem, że ledwie pomogła znachorce przenieść zwłoki na tapczan. Potem uklękła na środku izby i, bijąc głową w klepisko, wołała:

— Oj, Grzegorzowa!... A cóż wyście najlepszego zrobili!...

Znachorka była markotna.

— Et!... Cicho byście lepiej byli... Wy może myślicie, że dziewczuszyko od gorąca tak szcerwieniło? To tak z niej choroba wylazła, ino że trochę za prędko, więc i umorzyła<sup>6</sup> niebogę<sup>7</sup>. To wszystko przecie z mocy boskiej.

We wsi nikt nie wiedział o przyczynie śmierci Rozalii. Umarła dziewczucha — to trudno. Widać, że już tak było przeznaczone. Alboż to jedno dziecko co rok we wsi umiera, a przecie zawsze ich jest pełno.

Na trzeci dzień włożono Rozalię w świeżo zheblowaną trumienkę z czarnym krzyżem, trumnę ustawiono w gnojownicach i powieszono dwoma wołami za wieś, tam gdzie nad zapadniętymi mogiłami czuwają spróchniałe krzyże i białokore brzozy. Na nierównej drodze trumienka skrzywiła się trochę na bok, a Antek, trzymający się fałdów spódnicy matczynej, idąc za wozem myślał:

„Musi tam być źle Rozalce, kiedy się tak poprawia i na bok przewraca!...”

Potem — pokropił ksiądz trumnę święconą wodą, czterech parobków spuściło ją na szalach do grobu, przywaliło ziemią — i tyle wszystkiego.

<sup>6</sup> umorzyła - uśmierciła

<sup>7</sup> nieboga - osoba budząca współczucie

Wzgórza z lasem szumiącym i te, na których krzaki rosły, zostały tam, gdzie były. Pastusi jak dawniej grali na fujarkach w dolinie i życie szło, wciąż szło swoją koleją, choć we wsi nie stało jednej dziewczuchy.

Przez tydzień mówiono o niej, potem zapomniano i opuszczono świeży grób, na którym tylko wiatr wzdychał i świergotały polne koniki.

A jeszcze potem spadł śnieg i nawet koniki wystraszył.

W zimie gospodarskie dzieci chodziły do szkoły. A że z Antka nie spodziewała się matka żadnej pomocy w gospodarstwie, raczej zawadę, więc poradziwszy się kuma Andrzeja postanowiła oddać chłopca na naukę.

— A czy mnie we szkole nauczą wiatraki budować? — pytał Antek.

— Ocho! Nauczą cię nawet w kancelarii pisać, byleś ino był chętny.

Wzięła tedy wdowa czterdzieści groszy w węzełek, chłopca w garść i ze strachem poszła do nauczyciela. Wszedłszy do izby zastała go, jak sobie łątał stary kozuch. Pokłoniła mu się do nóg, doręczyła przyniesione pieniądze i rzekła:

— Kłaniam się też panu profesorowi i ślicznie proszę, żeby mi wielmożny pan tego oto wisusa wziął do nauki, a ręki na niego nie żałował, jak rodzony ojciec...

Wielmożny pan, któremu słoma wyglądała z dziurawych butów, wziął Antka pod brodę, popatrzył mu w oczy i poklepał.

— Ładny chłopak — rzekł. — A co ty umiesz?

— Jużci prawda, że ładny — pochwyciła zadowolona matka — ale musi, że chyba nic nie umie.

— Jakże więc, wy jesteście jego matką i nie wiecie, co on umie i czego się nauczył? — spytał nauczyciel.

— A skąd bym ja miała wiedzieć, co on umie? Przecie ja baba, to mi do tych rzeczy nic. A co uczył się on, niby mój Antek, to wiem, że uczył się bydło paść, drwa szczypać, wodę ze studni ciągnąć i chyba już nic więcej.

W taki sposób zainstalowano chłopca do szkoły. Ale że matce żal było wydanych czterdziestu groszy, więc dla uspokojenia się zebrała pod domem paru sąsiadów i radziła się ich, czy to dobrze, że Antek będzie chodzić do szkoły i że taki wydatek na niego poniosła.

— Te!... — odezwał się jeden z gospodarzy — niby to nauczycielowi z gminy się płaci, więc na upartego moglibyście mu nic nie dawać. Ale zawsze on się upomina, a takich, co nie płacą mu osobno, gorzej uczy.

— A dobry też z niego profesor?

— No, niczego!... On niby, jak z nim gadać, to taki jest trochę głupowaty, ale uczy — jak wypada. Mój przecie chłopak chodzi do niego dopiero trzeci rok i już zna całe abecadło — z góry na dół i z dołu do góry.

— E! Cóż to znaczy abecadło — odezwał się drugi gospodarz.

— Jużci, że znaczy — rzekł pierwszy. — Nibyście to nie słyszeli, co nieraz nasz wójt powiadają: „Żeby ja choć umiał abecadło, to bym z takiej gminy miał dochodu więcej niż tysiąc rubli, tyle co pisarz!”

W parę dni potem Antek poszedł pierwszy raz do szkoły. Wydała mu się taka prawie porządna jak ta izba w karczmie, co w niej szynkwas<sup>8</sup> stoi, a ławki były w niej jedna za drugą jak w kościele. Tylko że piec pękł i drzwi się nie domykały, więc trochę ziębiło. Dzieci miały czerwone twarze i ręce trzymały w rękawach — nauczyciel chodził w kozuchu na sobie i w baraniej czapce na głowie. A po kątach szkoły siedział biały mróz i wytrzeszczał na wszystko iskrzące ślepie.

Usadzono Antka między tymi, co nie znali jeszcze liter, i zaczęła się lekcja.

Antek, upomniany przez matkę, ślubował sobie, że musi się odznaczyć.

Nauczyciel wziął kredę w skostniałe palce i na zdezelowanej<sup>9</sup> tablicy napisał jakiś znak.

— Patrzcie, dzieci! — mówił. — Tę literę spamiętać łatwo, bo wygląda tak, jakby kto kozaka tańcował, i czyta się A. Cicho tam, osły!... Powtórzcie: a... a... a...

<sup>8</sup> szynkwas - daw. bufet w szynku lub w karczmie

<sup>9</sup> zdezelowany - zniszczony



— A!... a!... a!... — zawołali chórem uczniowie pierwszego oddziału.  
Nad ich piskiem górował głos Antka. Ale nauczyciel nie zauważył go jeszcze.  
Chłopca trochę to ubodło; ambicja jego została podrażniona.  
Nauczyciel wyrysował drugi znak.

— Tę literę — mówił — zapamiętać jeszcze łatwiej, bo wygląda jak precel.  
Widzieliście precel?

— Wojtek widział, ale my to chyba nie... — odezwał się jeden.

— No, to pamiętajcie sobie, że precel jest podobny do tej litery, która nazywa się B.  
Wołajcie: be! be!

Chór zawołał: be! be! — ale Antek tym razem rzeczywiście się odznaczył. Zwinął obie ręce w trąbkę i beknął jak roczne cielę.

Śmiech wybuchnął w szkole, a nauczyciel aż zatrzęsł się ze złości.

— He! — krzyknął do Antka. — Toś ty taki zuch? Ze szkoły robisz cielętnik? Dajcie go tu na rozgrzewkę.

Chłopiec ze zdziwienia aż osłupiał, ale nim się upamiętał, już go dwaj najsilniejsi ze szkoły chwycili pod ramiona, wyciągnęli na środek i położyli.

Jeszcze Antek niedobrze zrozumiał, o co chodzi, gdy nagle uczuł kilka tęgich razów i usłyszał przestrożę:

— A nie becz, hultaju! A nie becz!

Puścili go. Chłopiec otrząsnął się jak pies wydobyty z zimnej wody i poszedł na miejsce.

Nauczyciel wyrysował trzecią i czwartą literę, dzieci nazywały je chórem, a potem nastąpił egzamin.

Pierwszy odpowiadał Antek.

— Jak się ta litera nazywa? — pytał nauczyciel.

— A! — odparł chłopiec.

— A ta druga?

Antek milczał.

— Ta druga nazywa się be. Powtórz, ośle!

Antek znowu milczał.

— Powtórz, ośle, be!

— Albo ja głupi! — mruknął chłopiec, dobrze pamiętając, że w szkole beczeć nie wolno.

— Co, hultaju jakiś, jesteś hardy? Na rozgrzewkę go!...

I znowu ci sami co pierwsi koledzy pochwycili go, położyli, a nauczyciel udzielił mu taką samą liczbę prętów, ale już z upomnieniem:

— Nie bądź hardy!... Nie bądź hardy!...

W kwadrans później zaczęła się nauka oddziału wyższego, a niższy poszedł na rekreację<sup>10</sup>, do kuchni profesora. Tam jedni pod dyрекcją gospodyni skrobali kartofle, drudzy nosili wodę, inni pokarm dla krowy, i na tym zajęciu upłynął im czas do południa.

Kiedy Antek wrócił do domu, matka zapytała go:

— A co? Uczyłeś się?

— Uczyłem.

— A dostałeś?

— O, jeszcze jak! Dwa razy.

— Za naukę?

— Nie, ino na rozgrzewkę.

— Bo widzisz, to początek. Dopiero później będziesz brał i za naukę! — pocieszyła go matka.

Antek zamyślił się frasobliwie.

„Ha, trudno — rzekł w duchu. — Bije, bo bije, ale przynajmniej pokaże, jak się wiatraki stawiają.”

<sup>10</sup> rekreacja - przerwa w nauce

Od tej pory dzieci najniższego oddziału uczyły się wciąż czterech pierwszych liter, a potem szły do kuchni i na podwórze pomagać profesorskiej gospodyni. O wiatrakach mowy nie było.

Jednego dnia na dworze mróz był lżejszy, profesorowi także jakoś serce odtajało, więc chciał wytłumaczyć najmłodszym swoim wychowankom pożytek pisma.

— Patrzenie, dzieci — mówił pisząc na tablicy wyraz dom — jaka to mądra rzecz pisanie. Te trzy znaczki takie małe i tak niewiele miejsca zajmują, a jednak oznaczają — dom. Jak tylko na ten wyraz popatrzysz, to zaraz widzisz przed oczami cały budynek, drzwi, okna, sień, izby, piece, ławy, obrazy na ścianach, krótko mówiąc — widzisz dom ze wszystkim, co się w nim znajduje.

Antek przecierał oczy, wychylał się, oglądał napisany na tablicy wyraz, ale domu żadnym sposobem zobaczyć nie mógł. Wreszcie trącił swego sąsiada i spytał:

— Widzisz ty tę chałupę, co o niej profesor gadają?

— Nie widzę — odparł sąsiad.

— Musi to chyba być łgarstwo! — zakonkludował Antek.

Ostatnie zdanie usłyszał nauczyciel i krzyknął:

— Jakie łgarstwo? Co łgarstwo?

— A to, że na tablicy jest dom. Przecie tam jest ino trochę kredy, ale domu nie widno — odparł naiwnie Antek.

Nauczyciel porwał go za ucho i wyciągnął na środek szkoły.

— Na rozgrzewkę go! — zawołał i znowu powtórzyła się z najdrobniejszymi szczegółami dobrze już chłopakowi znana ceremonia.

Gdy Antek wrócił do domu czerwony, splakany i jakoś nie mogący znaleźć miejsca, matka znowu go zapytała:

— Dostałeś?

— A może matula myśla, że nie? — stęknął chłopiec.

— Za naukę?

— Nie za naukę, ino na rozgrzewkę!

Matka machnęła ręką.

— Ha! — rzekła po namyśle — musisz jeszcze poczekać, to ci tam kiedy dadzą i za naukę.

A potem, dokładając dREW do ognia na kominie, mruzczała sama do siebie:

— Tak to zawsze wdowie i sierocie na tej ziemi doczesnej! Żeby mi profesorowi miała dać z pół rubla, a nie czterdzieści groszy, to by mi chłopca od razu wziął. A tak, baraszkuje sobie z nim, i tyle.

A Antek słysząc to myślał:

„No, no! Jeżeli on tak baraszkuje ze mną, to dopiero będzie, jak mnie uczyć zacznie!”

Na szczęście czy nieszczęście obawy chłopca nie miały się nigdy ziścić.

Jednego dnia, było to już we dwa miesiące po wstąpieniu Antka do szkoły, przyszedł do jego matki nauczyciel i po zwykłych przywitaniach zapytał:

— Jakże, moja kobieto, będzie z waszym chłopakiem? Daliście za niego czterdzieści groszy, ale na początku, i już trzeci miesiąc idzie, a ja szeląga więcej nie widzę. To się tak przecie nie godzi; płaciecie choć i po czterdzieści groszy, ale co miesiąc.

A wdowa na to:

— Skądże ja wezmę, kiedy nie mam! Co jaki grosz zarobię, to wszystko idzie do gminy. Nawet dzieciskom szmaty nie ma za co kupić.

Nauczyciel wstał z ławy, nałożył czapkę w izbie i odparł:

— Jeżeli tak, to Antek nie ma po co chodzić do szkoły. Ja tam sobie nad nim darmo ręki zrywać nie będę. Taka nauka jak moja to nie dla biedaków.

Zabrał się i wyszedł, a wdowa patrząc za nim myślała:

„Jużci prawda. Jak świat światem, to ino pańskie dzieci chodziły do nauki. A gdzie zaś prosty człowiek mógłby na to wystarczyć!...”

Zawołała znowu kuma Andrzeja na radę i poczęli oboje egzaminować chłopca.

— Cóż się ty, wisusie, nauczył przez te dwa miesiące? — pytał go Andrzej. — Przecie matka wydali na cię czterdzieści groszy...

— Jeszcze jak! — wtrąciła wdowa.

— Com się tam miał nauczyć! — odparł chłopiec. — Kartofle skrobią się tak we szkole, jak i w domu, świniom tak samo daje się jeść. Tyle tylko, żem parę razy profesorowi buty wyczyścił. Ale za to porwali na mnie odzienie przy tych tam... rozgrzewkach...

— No, a z nauki toś nic nie połapał?

— Kto tam co połapie! — mówił Antek. — Jak nas uczy po chłopsku — to źle. Napíše se na tablicy jakiś znak i mówi, że to dom z izbą, sienią, z obrazami. Człowiek przecie ma oczy i widzi, że to nie jest dom. A jak nas uczy po szkolnemu, to kat go zrozumie! Jest tam paru starszych, co po szkolnemu pieśni śpiewają, ale młodszy to dobrze, jak się trochę kłąć nauczy...

— Ino kiedy spróbuj gadać tak paskudnie, to ja ci dam! — wtrąciła matka.

— No, a do gospodarstwa nigdy, chłopaku, nie nabierzesz ochoty? — spytał Andrzej.

Antek pocałował go w rękę i rzekł:

— Poślijcie mnie już tam, gdzie uczą budować wiatraki.

Starzy jak na komendę wzruszyli ramionami.

Nieszczęsny wiatrak, po drugiej stronie Wisły mielący zboże, tak ugrzązł w duszy chłopca, że go już stamtąd żadna siła wydobyć nie mogła.

Po długiej naradzie postanowiono czekać. I czekano.

Upływał tydzień za tygodniem, miesiąc za miesiącem, nareszcie chłopak doszedł do dwunastu lat, ale w gospodarstwie wciąż niewielkie oddawał usługi. Strugał swoje patyki, a nawet rzeźbił cudackie figury. I dopiero gdy mu się kozik zepsuł, a matka na nowy nie dawała pieniędzy, wynajmował się do roboty. Jednemu nocą koni na łące pilnował, zatopiony w siwej mgłę wieczornej i zapatrzony na gwiazdy; innemu woły prowadził przy orce: czasem poszedł do lasu, po jagody lub grzyby i sprzedawał szynkarzowi Mordce za kilka groszy cały kosz.

W chacie im się nie wiodło. Gospodarstwo bez chłopca to jak ciało bez duszy; a wiadomo, że ojciec Antka już od kilku lat wypoczywał na tym wzgórzu, gdzie przez żywoplot czerwonymi jagodami okryty spoglądają na wioskę smutne krzyże.

Wdowa do obrządzenia roli najmowała parobka, resztę pieniędzy musiała odnosić do gminy, a dopiero za to, co zostało, karmić siebie i chłopców.

Jadali też co dzień barszcz z chleba i kartofle, czasem kaszę i kluski, rzadziej groch, a mięso — chyba tylko na Wielkanoc. Niekiedy i tego w chacie nie stało, a wówczas wdowa, nie potrzebując pilnować komina, łątała synom sukmanki. Mały Wojtek płakał, a Antek z nudów w porze obiadowej łapał muchy i po takiej uczcie znowu szedł na dwór do strugania swoich drabin, płotów, wiatraków i świątych. Bo także wystrugiwał i świątych, co prawda na początek bez twarzy i rąk.

Nareszcie kum Andrzej, wierny przyjaciel osieroconej rodziny, wyrobił Antkowi miejsce u kowala, w drugiej wsi. Jednej niedzieli poszli tam z wdową i chłopcem. Kowal przyjął ich niezgorzej. Wypróbował chłopca w rękach i krzyżu, a widząc, że na swój wiek jest wcale mocny, przyjął go do terminu bez zapłaty i tylko na sześć lat.

Straszno i smutno było chłopcu patrzeć, jak płacząca matka i stary Andrzej pożegnawszy jego i kowala skryli się już za sadami idąc z powrotem do domu. Było mu jeszcze smutniej, kiedy spał pierwszą noc pod cudzym dachem, w stodółce, między nie znanymi sobie chłopakami kowala, którzy zjedli jego kolację i jeszcze dali mu do snu parę kułaków na zadatek dobrej przyjaźni.

Ale kiedy na drugi dzień rano ze świtem poszli gromadą do kuźni, gdy rozniecili ognisko, Antek począł dać pękatym miechem, a inni, śpiewając z majstrem Kiedy ranne wstają zorze, poczęli kuć młotami rozpalone żelazo — w chłopcu zbudził się jakby nowy duch. Dźwięk metalu, rytmiczny huk, pieśń, której aż las odpowiadał echem — wszystko to upoiło chłopca... Zdaje się, że w sercu jego aniołowie niebiescy naciągnęli kilka strun nie znanych innym chłopskim dzieciom i że struny te odezwały się dopiero dziś przy sapaniu miecha, tętnieniu młotów i pryskających z żelaza iskrach.

Ach, jaki by z niego był dziarski kowal, a może i co więcej... Bo chłopak, choć nowa robota podobała mu się okrutnie, wciąż myślał o swoich wiatrakach.

Kowal, dzisiejszy opiekun Antka, był człowiek nijaki. Kuł żelazo i piłował je ani źle, ani dobrze. Czasami walił chłopców, aż puchli, a najwięcej dbał o to, żeby się zbyt prędko nie



wyuczyli kunsztu. Bo taki młodzik wyszedłszy z terminu mógłby pod bokiem swemu rodzonemu majstrowi kuźnię założyć i zmusić go do staranniejszej roboty!...

A trzeba wiedzieć, że majster miał jeszcze jeden obyczaj.

Na drugim końcu wsi mieszkał wielki przyjaciel kowala — sołtys, który w zwykłe dni prawie nie odchodził od pracy, ale gdy mu co kapnęło z urzędu, rzucał gospodarstwo i szedł do karczmy mimo kuźni. Bywało tego raz albo i dwa razy na tydzień.

Idzie sobie tedy sołtys z zapracowanym na urzędzie groszem pod sosnową wiechę<sup>11</sup> i niechcący zbacza do kuźni.

— Pochwalony! — woła do kowala stojąc za progiem.

— Pochwalony! — odpowiada kowal. — A jak tam w polu?

— Niczego — mówi sołtys. — A jak u was w kuźni?

— Niczego — mówi kowal. — Chwała Bogu, żeście choć aby raz wyleźli z chałupy.

— A tak — odpowiada sołtys. — Takem ci się zgadał w kancelarii, że muszę choć odrobinę zęby popłukać. Może pójdziecie i wy od tego kurzu?

— Ma się rozumieć, że pójde, przecie zdrowie jest najpierwsze — odpowiadał kowal i nie zdejmując fartucha szedł wraz z sołtysem do karczmy.

A kiedy już raz wyszedł, mogli chłopcy na pewno gasić ogniska. Żeby robota była najpilniejsza, żeby się walił świat, ani majster, ani sołtys przed wieczorem nie wyszli z karczmy, chyba że sołtysowi narzuciła się jaka urzędowa czynność.

Dopiero późno w nocy wracali do domu.

Zwykle sołtys wiódł kowala pod rękę, a ten dźwigał butelkę „płukania” na jutro. Na drugi dzień sołtys był zupełnie trzeźwy i gospodarował aż do nowego zarobku na urzędzie, ale kowal wciąż zaglądał w przyniesioną butelkę, dopóki się dno nie pokazało, i tym sposobem od jednego zamachu wypoczywał przez dwa dni.

Już półtora roku nadymał Antek miechy w kuźni, nie robiąc, zdaje się, nic więcej, i półtora roku majster z sołtysem regularnie płukali zęby pod sosnową wiechą. Aż raz zdarzył się wypadek.

Kiedy sołtys z kowalem siedzieli w karczmie, nagle po pierwszym półkwatku dano znać, że ktoś tam powiesił się — i gwałtem wyciągnięto sołtysa z za stołu. Kowal nie mając odpowiedniego towarzystwa musiał zaprzestać płukania, ale kupił niezbędną butelkę i powoli wracał z nią ku domowi.

Tymczasem do kuźni przyszedł chłop z koniem do okucia.

Ujrzawszy go terminatorzy<sup>12</sup> zawołali:

— Nie ma majstra, dziś robi z sołtysem płukanie!

— A z was to żaden nie potrafi szkapy okuć? — spytał markotnie gospodarz.

— Kto tam potrafi! — odparł najstarszy terminator.

— Ja wam okuję — odezwał się nagle Antek.

Tonący chwytą się brzytwy, więc i chłop zgodził się na propozycję Antka, choć niewiele mu ufał, a jeszcze inni terminatorzy wyśmiewali go i wymyślali.

— Widzisz go, niedorostka! — mówił najstarszy. — Jak żyje, nie trzymał młota w garści, tylko dymał i węgli dokładał, a dziś porywa się na kucie koni!...

Widać jednak, że Antek miewał młot w garści, bo zawinąwszy się w niedługim nawet czasie odkuł kilka gwoździ i podkowę. Wprawdzie podkowa była za wielka i niezbyt foremna, ale swoją drogą terminatorzy pootwierali gęby.

Jak raz przyszedł na tę chwilę i majster. Opowiedziano mu, co się stało, okazano podkowę i gwoździe.

Kowal obejrzał i aż przetarł krwią nabiegłe oczy.

— A ty gdzieś się tego nauczył, złodzieju? — zapytał Antka.

— A w kuźni — odparł chłopiec zadowolony z komplementu. — Jak pan majster poszedł na płukanie, a oni rozbiegli się, to ja wykuwałem różne rzeczy z ołowiu albo i z żelaza.

<sup>11</sup> pod sosnową wiechą – w przenośni: do karczmy

<sup>12</sup> terminator - uczeń odbywający dawniej naukę rzemiosła u majstra

Majster był tak zmieszany, że nawet zapomniał zbić Antka za psucie materiałów i narzędzi. Aż poszedł na radę do żony, skutkiem czego chłopca wydano z kuźni i przeznaczono do gospodarstwa.

— Za mądryś ty, kochanku! — mówił mu kowal. — Nauczyłyś się fachu we trzy lata i później byś uciekł. A przecież matka oddała mi cię na sześć lat — do służby.

Pół roku jeszcze był Antek u kowala. Kopał w ogrodzie, pełł, rąbał drzewo, kołysał dzieci, ale już nie przestąpił progu kuźni. Pod tym względem wszyscy go rzetelnie pilnowali: i majster, i majstrowa, i chłopcy. Nawet własna matka Antkowa i kum Andrzej, choć wiedzieli o dekrecie kowalskim, nic przeciw niemu nie mówili. Według umowy i obyczaju chłopiec dopiero po sześciu latach miał prawo jako tako faszerować kowalstwo. A że był dziwnie bystry i nie uczony przez nikogo, nauczył się kowalstwa sam w ciągu roku, więc tym gorzej dla niego!

Swoją drogą Antkowi uprzykrzył się taki tryb życia.

„Mam ja tu kopać i drwa rąbać, więc wolę to samo robić u matki!”

Tak sobie myślał przez tydzień, przez miesiąc. Wahał się. Ale w końcu — uciekł od kowala i wrócił do domu.

Te jednak parę lat wyszły mu na dobre. Chłopak wyrósł, zmężniał, poznał trochę więcej ludzi aniżeli w swojej dolinie, a nade wszystko poznał więcej rzemieślniczych narzędzi.

Teraz siedząc w domu pomagał czasem przy gospodarstwie, ale przeważnie robił swoje maszyny i rzeźbił figury. Tylko już oprócz kozika miał dłutko, pilnik i świderkę i władał nimi tak biegle, że niektóre z jego wyrobów począł nawet kupować Mordko szynkarz. Na co?... Antek o tym nie wiedział, chociaż jego wiatraki, chaty, sztuczne skrzynki, święci i rzeźbione fajki rozchodziły się po całej okolicy. Dziwiono się talentowi nieznanego samouka, niezgorzej nawet płacono za wyroby Mordce, ale o chłopca nikt się nie pytał, a tym bardziej nikt nie myślał o podaniu mu pomocnej ręki.

Alboż kto pielęgnuje kwiaty, dzikie gruszki i wiśnie, choć niby wiadomo, że przy staraniu i z nich byłby większy pożytek?...

Tymczasem chłopiec podrastał, a dziewczuchy i kobiety wiejskie coraz milej na niego spoglądały i coraz częściej mówiły między sobą:

— Ładny, bestyja, bo ładny!

Rzeczywiście Antek był ładny. Był dobrze zbudowany, w sobie zręczny i prosto się trzymał, nie tak jak chłopci, którym ramiona zwieszają się, a nogi ledwie posuwają się od ciężkiej pracy. Twarz także miał nie taką jak inni, ale rysy bardzo regularne, cerę świeżą, wyraz rozumny. Miał też jasne kędzierzawe włosy, ciemnawe brwi i ciemnoszafirowe oczy, marzące.

Mężczyźni dziwili się jego sile i sarkali na to, że próżnował. Ale kobiety wołały mu patrzeć w oczy.

— Jak on, bestyja, spoglądnie na człowieka — mówiła jedna z bab — to aż cię mrowie przechodzi. Taki jeszcze młodziak, a już patrzy na cię jak dorosły szlachcic!...

— Bo to prawda — zaprzeczyła druga. — On patrzy zwyczajnie jak niedorostek, ino ma taką słodkość w ślipiach, że aż cię rozbiera. Ja się na tym znam!...

— Chyba ja się lepiej znam — odparła pierwsza. — Przecież służyła we dworze...

A gdy się kobiety spierały tak o patrzenie Antkowe, on tymczasem na nie nie patrzył wcale. U niego więcej jeszcze znaczył pilnik aniżeli najładniejsza kobieta.

W tym czasie wójt, stary wdowiec, który już córkę z pierwszego małżeństwa wydał za mąż i miał jeszcze w domu kilkoro małych dzieci z drugiego małżeństwa, ożenił się trzeci raz. A jako zwykle łysi miewają szczęście, więc wynalazł sobie za Wisłą żonkę młodą, piękną i bogatą.

Kiedy para ta stanęła przed ołtarzem, ludzie poczęli się śmiać; a i sam ksiądz trochę pokiwał głową, że tak nie pasowali do siebie.

Wójt trząśł się jak dziad, co ze szpitala wyjdzie, i dlatego tylko był mało siwy, że miał głowę łysą jak dynia. Wójtowa była jak iskra. Czysta Cyganka z wiśniowymi ustami nieco odchylonymi i z oczami czarnymi, w których niby ogień paliła się jej młodość.

Po weselu dom wójta, zwykle cichy, bardzo się ożywił, bo raz w raz przybywali goście. To strażnik<sup>13</sup>, który częstsze miewał niż zwykle interesa do gminy; to pisarz, który znać nie

<sup>13</sup> strażnik – policjant za czasów carskich

dosyć nacieszywszy się wójtem w kancelarii jeszcze go w domu odwiedzał; to znów strzelcy rządowi, których dotąd we wsi nie bardzo kiedy widywano. Nawet sam profesor, odebrawszy miesięczną pensję, cisnął w kął stary kozuch i ubrał się — jak magnat, tak że niejeden wiejski człowiek począł go tytułować wielmożnym dziedzicem.

I wszyscy owi strażnicy, strzelcy, pisarze i nauczyciele ciągnęli do wójtowej jak szczury do młyna. Ledwie jeden wszedł do izby, już drugi wystawał za plotem, trzeci sunął z końca wsi, a czwarty kręcił się koło wójta. Jejmość rada była wszystkim, śmiała się, karmiła i poila gości. Ale też czasem wytargała którego za włosy, a nawet i wybiła, bo humor u niej łatwo się zmieniał.

Nareszcie po półrocznym weselu zaczęło być trochę spokojniej. Jedni goście znudzili się, drugich wójtowa przepędziła, i tylko podstarzały profesor, sam lichy jedząc i morząc głodem swoją gospodynię, za każdą pensję miesięczną kupował sobie jakiś figlas do ubrania i siadywał u wójtowej na progu (bo go z izby wyganiano) albo kłął i wzdychał pomiędzy opłotkami.

Jednej niedzieli poszedł Antek na sumę jak zwykle, z matką i bratem. W kościele było już ciasno, ale dla nich znalazło się jeszcze trochę miejsca. Matka uklękała między kobietami na prawo, Antek z Wojtkiem między chłopami na lewo i każdy modlił się, jak umiał. Naprzód do świętego w wielkim ołtarzu, potem do świętego, co stoi wyżej nad tamtym, potem do świętych w ołtarzach bocznych. Modlił się za ojca, co go przytłukło drzewo, i za siostrę, co z niej za prędko choroba w piecu wyszła, i za to, ażeby Pan Bóg miłosierny i jego święci ze wszystkich ołtarzów dali mu szczęście w życiu, jeżeli taka będzie ich wola.

Wtem gdy Antek już czwarty raz z kolei powtarzał swoje pacierze, uczył nagle, że ktoś udeptał go w nogę i ciężko oparł mu się na ramieniu. Podniósł głowę. Przeciskająca się pomiędzy ciżbą ludu stała nad nim wójtowa, na twarzy smagła, zaczerwieniona, zadyszana z pośpiechu. Ubierała się jak chłopka, a spod chustki, spadającej z ramion, widać było koszulę z cieniutkiego płótna i sznury paciorków z bursztynów i korali.

I popatrzyli sobie w oczy. Ona wciąż nie zdejmowała mu ręki z ramion, a on... klęczał, patrzył na nią, jak na cudowne zjawisko, nie śmiejąc ruszyć się, aby mu nagle nie znikła.

Między ludźmi poczęto szeptać.

— Usuniecie się, kumie, pani wójtowa idą.

Kumowie usunęli się i wójtowa poszła dalej, aż przed wielki ołtarz. W drodze niby potknęła się i znowu spojrzała na Antka, a chłopca aż gorąco oblało od jej oczów. Potem usiadła na ławce i modliła się z książki, czasami podnosząc głowę i spoglądając na kościół. A kiedy na podniesienie zrobiło się cicho, jakby makiem zasiał, i pobożni upadli na twarze, ona złożyła książkę i znowu odwróciła się do Antka topiąc w nim ogniste źrenice. Na jej cygańską twarz i sznur paciorków spłynął z okna snop światła i wydała się chłopcu jako święta, wobec której ludzie milkną i rzucają się w proch.

Po sumie ludzie tłumem poszli do domów. Wójtową otoczyli pisarz, nauczyciel i gorzelnik z trzeciej wsi, i już Antek nie mógł jej zobaczyć.

W chacie postawiła matka chłopakom doskonały krupnik zabelony mlekiem i wielkie pierogi z kaszą. Ale Antek, choć lubił to, jadł ledwie jednym zębem. Potem zabrał się, poleciał w góry i położywszy się na najwyższym szczycie, patrzył stamtąd na wójtową chatę. Ale widział tylko słomiany dach i mały niebieski dymek wydobywający się powoli z obielonego komina. Więc zrobiło mu się tak czegoś tęskno, że schował twarz w starą sukmanę i zapłakał.

Pierwszy raz w życiu uczył wielką swoją nędzę. Chata ich była najbiedniejsza we wsi, a pole najgorsze. Matka, choć przecie gospodyni, pracować musiała jak komornica i odziewała się prawie w łachmany. Na niego samego patrzono we wsi jak na straceńca, który nie wiadomo po co innym chleb zjada. A co go się nie nabili, co go się nawet psy nie nagryzły!...

Jakże daleko było mu do profesora, gorzelnika, a choćby i do pisarza, którzy ile razy chcieli, mogli wejść do wójtowskiej chaty i gadać z wójtową. Jemu zaś nie o wiele chodziło. Pragnął tylko, żeby jeszcze choć raz jeden, jedyny i ostatni raz w życiu, oparła mu kiedy wójtowa na ramieniu rękę i spojrzała w oczy tak jak w kościele. Bo w jej spojrzeniu mignęło mu coś dziwnego, coś jak błyskawica, przy której na krótką chwilę odsłaniają się niebieskie głębokości pełne tajemnic. Gdyby je kto dobrze obejrzał, wiedziałby wszystko, co jest na tym świecie, i byłby bogaty jak król.

Antek w kościele nie przypatrzył się dobrze temu, co mignęło w oczach wójtowej. Był nieprzygotowany, olśniony i szczęśliwą sposobność stracił. Ale gdyby ona tak jeszcze kiedy na niego chciała spojrzeć!...

Marzyło mu się, że zobaczył przelatujące szczęście, i strasznie do niego zatęsknił. Zbudziło się drzemiące serce i wśród boleści poczęło się — jakby przeciągać. Teraz świat wydał mu się całkiem odmienny. Dolina była za szczupła, góry za niskie, a niebo — bodaj czy się nie opuściło, bo zamiast porywać ku sobie, zaczęło go przygniatać. Chłopiec zeszedł z góry pijany, nie wiedząc, jakim sposobem znalazł się nad brzegiem Wisły, i patrząc w rzeczne wiry czuł, że go coś pociąga ku nim.

Miłość, której nawet nazwać nie umiał, spadła nań jak burza rozniecając w duszy strach, żal, zdziwienie i — albo on wiedział co jeszcze?

Odtąd co niedzielę chodził do kościoła na sumę i z drżeniem serca czekał na wójtową, myśląc, że jak wtedy położy mu rękę na ramieniu i spojrzy w oczy. Ale wypadki nie powtarzają się, zresztą uwagę wójtowej pochłaniał teraz gorzelnik, chłop młody i zdrowy, który aż z trzeciej wsi przyjeżdżał... na nabożeństwo.

Wówczas Antek wpadł na osobliwy pomysł. Postanowił zrobić piękny krzyżyk i ofiarować wójtowej. Wtedy ona chyba spojrzy na niego i może uleczy z tej tęsknicy, która mu wypijała życie.

Za ich wsią, na rozstajnych drogach, znajdował się dziwny krzyż. Od podstawy owijały go powoje. Nieco wyżej była drabinka, włócznia i cierniowa korona, a u szczytu przy lewym ramieniu wisiała jedna ręka Chrystusa, bo resztę figury ktoś ukradł — pewnie na czary. Ten to krzyż wziął Antek za model.

Strugał więc, przerabiał i na nowo zaczynał swój krzyżyk starając się, ażeby był piękny i wójtowej godny.

Tymczasem na wieś spadło nieszczęście. Wisła wylała, przerwała tamę i zniszczyła przybrzeżne pola. Ludzie wiele stracili, ale najwięcej Antkowa matka. W chacie jej pokazał się nawet głód. Trzeba było iść na zarobek, chodziła więc i sama nieboga, i Wojtusia oddała na pastucha. Ale wszystko to nie wystarczało. Antek, nie chcący jąć się pracy gospodarskiej, był dla niej prawdziwym ciężarem.

Widząc to stary Andrzej począł nalegać na chłopca, ażeby poszedł w świat.

— Jesteś przecie chłopak bystry, silny, zręczny do rzemiosła, więc udaj się między miejskich ludzi. Tam nauczysz się czego i jeszcze matce będziesz pomocny a tu ostatni kęs chleba odejmujesz jej od gęby.

Antek aż pobladł na myśl, że przyjdzie mu opuścić wieś bez zobaczenia się choć raz z wójtową. Rozumiał jednak, że inaczej być nie może, i tylko prosił, żeby mu zostawili kilka dni.

Przez ten czas z podwojoną gorliwością rzeźbił swój krzyżyk i wyrzeźbił bardzo ładny, z powojem u dołu, z narzędziami męki i z ręką Pańską przy lewym ramieniu. Ale gdy skończył robotę, żadną miarą nie miał odwagi pójść do wójtowskiego mieszkania i swój dar ofiarować wójtowej.

Przez ten czas matka połatała mu odzienie, pożyczyła od Mordki rubla na drogę, wystarała się o chleb i ser do kobiałki<sup>14</sup>, wyplakała się. Ale Antek wciąż marudził, z dnia na dzień odwlekając swoje wyjście.

Zniecierpliwiło to Andrzeja, który jednej soboty wywołał chłopca z chaty i rzekł mu surowo:

— No, a kiedyż ty, chłopaku, opamiętasz się? Czy chcesz, żeby przez ciebie matka z głodu i z pracy zmarła? Przecie ona swoimi starymi rękoma nie wykarmi siebie i takiego jak ty draba, co próżnuje po całych dniach!...

Antek schylił mu się do nóg.

— Poszedłbym już, Andrzeju, ale kiedy mi strasznie żal porzucać swoich!

Nie powiedział jednak, kogo mu żal najwięcej.

— Ocho! — zawołał Andrzej. — A cóżes ty dziecko przy piersi, że nie możesz się obejść bez matki? Dobry z ciebie chłopak, ani słowa, ale masz w sobie takiego niechcieja, co by cię tu do siwych włosów trzymał matce na karku. Dlatego ja ci powiem: jutro święta niedziela,

<sup>14</sup> kobiałka - nieduży koszyk z pałąkiem; też: ilość czegoś mogąca zmieścić się w takim koszyku

wszyscy będziemy wolni i odprowadzimy cię. Więc po nabożeństwie zjesz obiad i pójdziesz. Dłużej tu z założonymi rękami nie ma co siedzieć. Ty najlepiej wiesz, że mówię prawdę.

Antek, upokorzony, wrócił do chaty i powiedział, że już jutro pójdzie w świat szukać roboty i nauki. Biedna kobieta połykając łzy poczęła szykować go do drogi. Dała mu starą kobiałkę, jedyną w chacie, i torbę parcianą. W kobiałkę włożyła trochę jadła, a w torbę pilniki, młotek, dłutka i inne narzędzia, którymi Antek od tylu lat wyrabiał swoje zabawki.

Nadeszła noc, Antek leżał na twardej ławie, ale zasnąć nie mógł. Uniósłszy głowę patrzył na dogasające w kominie węgle, słuchał dalekiego szczekania psów albo świerkania świerszcza w chacie, który nad nim tak wołał, jak wołają polne koniki nad opuszczonym grobem małej jego siostry Rozalii.

Wtem usłyszał jeszcze jakiś szmer w rogu izby. To bezsenna matka jego po cichu szlochała...

Antek ukrył głowę pod sukmanę.

Słońce było wysoko, kiedy się obudził. Matka już wstała i drżącymi rękoma ustawiała garnuszki przy ogniu.

Potem wszyscy razem usiedli za stół do śniadania i trochę podjadłszy poszli do kościoła.

Antek miał na piersiach pod sukmaną swój krzyżyk. Co chwilę przyciskał go, oglądając się niespokojnie, czy gdzie wójtowej nie widać, i myśląc z trwogą, jak też on jej swój dar doręczy?

W kościele nie było wójtowej. Chłopak, klęcząc na środku, machinalnie odmawiał modlitwy, ale co mówił?... nie rozumiał. Gra organów, śpiew ludu, dźwięk dzwonek i własne cierpienie w duszy jego zlały się w jedną wielką zawieruchę. Zdawało mu się, że cały świat drży w posadach w tej chwili, kiedy on ma opuścić tę wieś, ten kościół i wszystkich, których ukochał.

Ale na świecie było spokojnie, tylko w nim tak kipiał żal.

Nagle organy ucichły, a ludzie pochylili głowy. Antek ocknął się, spojrział. Jak wówczas, tak i dziś było podniesienie i jak wówczas, w ławce przy wielkim ołtarzu siedziała wójtowa.

Wtedy chłopiec ruszył ze swego miejsca między ciżbą ludu, zachołał się na kolanach aż do owej ławki i znalazł się u nóg wójtowej. Sięgnął za pazuchę i wydobyl krzyżyk. Ale odbiegła go wszelka śmiałość, a głos mu zamarł tak, że jednego wyrazu nie mógł przemówić. Więc zamiast oddać krzyżyk tej, dla której rzeźbił go przez parę miesięcy, wziął i zawiesił swoją pracę na gwoździu wbitym w ścianę obok ławki. W tej chwili ofiarował Bogu drewniany krzyżyk, a razem z nim swoją tajemną miłość i niepewną przyszłość.

Wójtowa zauważyła szmer i spojrzała na chłopca ciekawie, tak samo jak wtedy. Ale on nic nie widział, bo mu się oczy zasłoniły łzami.

Po sumie matka z dziećmi wróciła do chaty. Ledwie zjedli kartoflanek i trochę klusków, ukazał się w izbie kum Andrzej i po przywitaniu rzekł:

— No, chłopcze! Zabieraj się! Komu w drogę, temu czas.

Antek podpasał sukmanę rzemykiem, przewiesił torbę z narzędziami przez jedno ramię, a kobiałkę przez drugie.

Gdy już wszyscy gotowi byli do drogi, chłopiec ukląkł, przeżegnał się i ucałował klepisko chaty jak podłogę kościelną. Potem matka wzięła go za jedną rękę, brat Wojtuś za drugą i jak pana młodego do ślubu wiedli go oboje najukochańsi na próg świata.

Stary Andrzej włókł się za nimi.

— Masz tu rubla, Antku — mówiła matka wciskając chłopcu w rękę gałganek pełen miedzianych pieniędzy. — Nie kupuj za to, dziecko, statków do krajania, ino schowaj se ten grosz na złe czasy, kiedy ci się jeść zachce. A jeżeli kiedy zarobisz taki pieniądz, to daj go na mszę świętą, ażeby ci Bóg błogosławił.

I szli tak wolno, wawozem pod górę, aż im wieś z oczu znikła; tylko z karczmy dolatywało ciche granie skrzypeków i dudnienie bębna z dzwonekami. Wreszcie i to ucichło, znaleźli się na wyżynie.



— No, wróćwa się już — rzekł Andrzej — a ty, chłopaku, idź wciąż drogą i pytaj się o miasto. Bo tobie nie na wsi mieszkać, ino w mieście, gdzie ludzie chętniejsi są do młotka niż do roli.

Wdowa na to odezwała się z płaczem:

— Kumie Andrzeju, doprowadźmyż go choć do figury świętej, gdzie by pobłogosławić go można.

A potem biadała:

— Czy kto kiedy słyszał, żeby rodzona matka dziecko swoje wiodła na stracenie? Wychodzili, prawda, od nas chłopacy do wojska, ale to był mus. Nigdy przecie nie widziano, żeby kto z własnej woli opuszczał wieś, gdzie się urodził i gdzie go przyjąć powinna święta ziemia. Oj, doloż ty moja, dolo! że ja już trzecią osobę z chaty wyprowadzam, a sama jeszcze żyję na świecie!... A schowałeś, synusiu, pieniądze?

— Schowałem, matulu.

Doszli do figury i poczęli się żegnać.

— Kumie Andrzeju — mówiła wdowa łkając — wyście tyle świata widzieli, wyście z bractwa, pobłogosławcież tego sierotę — a dobrze, żeby się nim Pan Bóg opiekował.

Andrzej popatrzył w ziemię, przypomniał sobie modlitwę za podróżnych, zdjął czapkę i położył ją pod figurą. Potem wznosił ręce ku niebu, a gdy wdowa i obaj jej synowie uklękli, począł mówić:

— O, Boże święty, Ojczy nasz, któryś naród swój wyprowadził z ziemi egipskiej i z domu niewoli, który każdemu stworzeniu, co się rucha, dajesz pokarm, który ptaki powietrzne do ich starodawnych gniazd powracasz, Ciebie prosimy, bądź miłościw temu podróżnemu, ubogiemu i strapionemu! Opiekuj się nad nim, Boże nasz święty, w złych przygodach pocieszaj, w chorobie uzdrów, w głodzie nakarm i w nieszczęściu ratuj. Bądź mu, Panie, miłościw pośród obcych, jakoś był Tobiaszowi i Józefowi. Bądź mu ojcem i matką. Za przewodników daj mu aniołów Twoich, a gdy spełni, co sobie zamierzył — do naszej wsi i do jego domu szczęśliwie powróć.

Tak się modlił chłop w świątyni, gdzie polne zioła pachniały, śpiewały ptaki, gdzie pod nimi błyszcząca w ogromnych skrętach Wisła, a nad nimi stary krzyż szeroko otwierał ramiona.

Antek upadł do nóg matce, potem Andrzejowi, ucałował brata i — poszedł drogą.

Ledwie uszedł kilkadziesiąt kroków, aż wdowa zawołała za nim:

— Antku!...

— Co, matulu?...

— A jak ci tam będzie źle u obcych, wracaj do nas... Niech cię Bóg błogosławi.

— Zostańcie z Bogiem! — odparł chłopak.

Znowu uszedł kawałek drogi i znowu zawołała za nim smutna matka:

— Antku!... Antku!...

— Co, matulu? — spytał chłopiec.

Głos jego już słabiej dolatywał.

— A nie zapomnij o nas, synusiu! Niech cię Bóg błogosławi!

— Zostańcie z Bogiem!

I szedł, szedł, szedł jak ów chłopak, co wybrał się po cyrograf wystawiony na własną duszę. Wreszcie za wzgórkiem znikł. Na polu rozlegał się jęk zbolelej matki.

Ku wieczorowi niebo zaciągnęło się chmurami i spadł drobny deszcz. Ale że chmury nie były gęste, więc przedarły się przez nie blaski zachodzącego słońca. Zdawało się, że nad szarym polem i nad grząską, gliniastą drogą unosi się złote sklepienie powleczone żalobną krepą.

Po tym polu szarym i cichym, bez drzew, po drodze grząskiej posuwał się z wolna strudzony chłopiec w siwej sukmance, z kobiałką i torbą na plecach.

Zdawało się, że wśród głębokiego milczenia krople deszczu nucą tęskną melodię znanej pieśni:

*Przez dolinę, przez pole  
Idzie sobie pacholę,  
Idzie sobie i śpiewa.*

*Wiatr mu z deszczem przygrywa!*

Może spotkacie kiedy wiejskiego chłopca, który szuka zarobku i takiej nauki, jakiej między swoimi nie mógł znaleźć. W jego oczach zobaczycie jakby odbłask nieba, które przegląda się w powierzchni spokojnych wód; w jego myślach poznacie naiwną prostotę, a w sercu tajemną i prawie bezświadomą miłość.

Wówczas podajcie rękę pomocy temu dziecku. Będzie to nasz mały brat, Antek, któremu w rodzinnej wsi stało się już za ciasno, więc wyszedł w świat oddając się w opiekę Bogu i dobrym ludziom.

---

Ta lektura pochodzi z serwisu [www.medianauka.pl](http://www.medianauka.pl).

Utwór nie jest chroniony prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać.

Tekst opracowany na podstawie: Prus, Bolesław (1847-1912), Antek, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1975